

Świat podrobiony...



Koło Naukowe Młodych Twórców

Instytut Polonistyki

Dom Mądrości



Ujrzyj dom,
który od początku swego istnienia
więzi umysły uczniów sztuk.
W jego komnatach zamknięta,
prastara, skostniała
Mądrość.

Zaś jego korzenie,
sięgają do najgłębiej skrywanych tajemnic,
w dziejach ludzkości .
W tych murach gromadzi się potęga,
odpowiedzi na wszelkie pytania.
Tu prowadzą drogi do zrozumienia.
Miejsce spętane czasem.
Przeznaczeniem każdego z nas.

Schody wytarte tysiącami, tysięcy stóp.
Przekraczając progi świątyń Mądrości,
obserwujemy jak tkana jest historia świata.
Te powieści są lustrem nas samych .
Jesteśmy drzemiącą potęgą zaklętych słowach
Powtórką wieków.

Przychodzimy, aby odnaleźć własną tożsamość.
Jak nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców,
przychodząc jako dzieci odchodząc dojrzały.
To Dom, Świątynia, Instytut, Miejsce Początku.

MB



Świat podrobiony...

Życ można wszędzie.

Szukanie sensu jest niemożliwe,
nie ma jedności sensu.

Nie ma nic oryginalnego, wszystko jest powtórzeniem.

Śmierć jest dopełnieniem sensu.

Antypoezja,

banalizm,

degradacja mitów,

dezintegracja duchowa,

ironia, immoralizm, jałowość,

negacja socjofery,

wygoda zamiast walki,

niepewność,

pauperyzacja sztuki,

życie na walizkach,

lux - tenebrae.

Rzeczywistość- coś co się stwarza,

jej zadaniem jest zdobywanie sensu.

Jednolitość świata jest złudzeniem,

wyskrobywaniem starej zaprawy.

Świat to kabaretowa scena, kruchy przedmiot,

zgniła idea.

Króluj ironia

Kicz. Piknik. Belkot.

MB

LEŻĄC

zawieszasz mój ból w prawach
i obowiązkach
ale to nie zdoła cię zatrzymać
na drodze
ku światu
ani świata na twojej drodze

powiedz czy ta do nas
otwarta nieprzejezdna
powiedz czy
rozkopywałem się w tobie
o kilka
o kilka stóp za głęboko

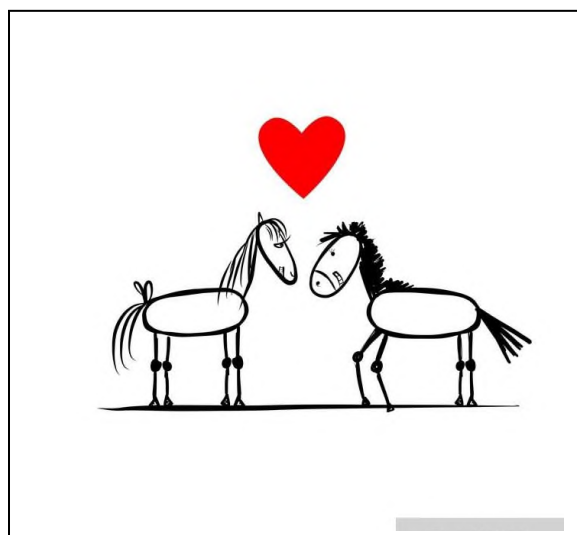
tam
gdzie teraz leżę
nie dbają o intencje
tam

skruszona ziemia pęcznieje
w ustach, połóż się wzdłuż
kłamstwa ułoż się z tobą

do snu

nie trać twarzy
o nadzieję za późno
niczyi dotyk nie ocala
jedyne wymyślenie
które pozwala ci na oddech
to naiwna wyższość
gdy płacisz wychodząc z obcego mieszkania

pozwól sobie jeszcze raz
bym mógł położyć się w tobie
nasze kłamstwo nie ma nóg
ale długą drogę do przebycia
póki co niech położy się
z nami kołyszac do snu



NIEROZPUSZCZALNY



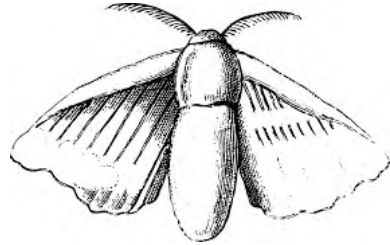
Czarnym piórem spisał znaki żałobnej pieśni
Żałobnego szeptu sprzed wielu już lat
Dłonie drżąc ujęły zmięty papier wyblakły
A umysł oddał się opowieści
Jego oczy – światła promień odbity od tafli lodu
Usta jego – ostatniego pożegnania żar
Język – palenisko dogasających skarg
Przeklinanej wiary w błękitną naiwność słów
Naiwny błękit pogrzebał mu kości i piachem zasypał światło żył

Ubrany zaledwie w złęknioną duszę wojownik
Piechura bez królestwa do ochrony z okrzykiem w krtani
To prawda że z duszą to prawda kładł się z nią spać
Śnił to prawda śnił że powłokę człowieka gubi i ma tej duszy już mniej
Sen o nieprzerwanym cierpieniu skał wody chłodem chłostanych
w przyplýwie rytmu wysokich fal
Duchowa korozja uderzeń łaskawość zmieniająca go w proch
I cichł płacz gdy podtapiany wciąż budził się
A z nim obudzone nieskruszone skały na dnie

Echo tortur morskich oceanu nocy niepodzielny dar

ZANIKAJĄC

Czuć tak niewiele
Czuć tak mało
Czuć mniej niż trochę, by inni uznali
na oko że wcale



Być jak odnóże pająka na ścianie
gdy
z nieświadomym uwijaniem nici
w pajęczą bawełnę nie płacze się ono
nie zlewa z tkaniną a jednak drgając
Istnieje widoczne w zasięgu dotyku
I przemocy bliskie
Tak mało

Tak

niewiele

czuć

TEKST

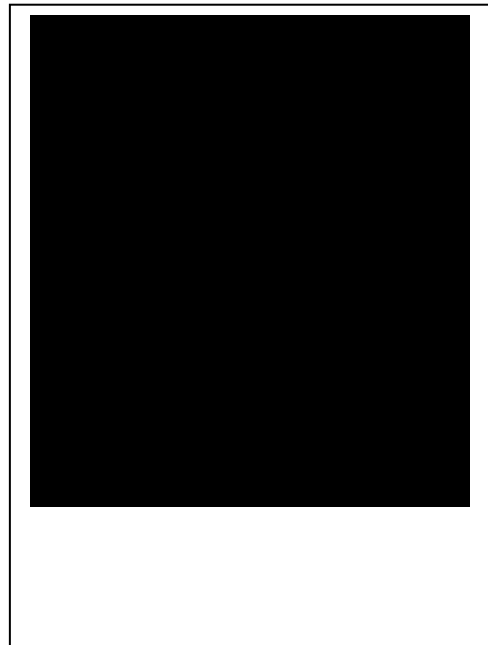
Widzisz tekst
zapisany na szarpanych nerwów
papierusie
Nie pragniesz dostrzec w nim autora

Rozumiem twoje potrzeby czytelnicze
W niejednych tekstach się rozsiadywałem
Z niezaostrzonym ołówkiem z
cynicznym uśmiechem w dłoni

Przyszłość która goni za
przeszłością
Jest momentem niewydarzonej
historii
O przejeźdzonej myszy
która zjadła kota

Wiem że widzisz tekst
Nie zdajesz sobie sprawy ile kosztował
Tusz którym go spisałem
W niewolę słów składnią
opatrzoną
Zawieszoną nad ranem
poprawiającą włosy za ucho
Dla ciebie
Chyba

Rozumiem twoje
te twoje potrzeby czytelnicze
Podejście strukturalne
Obojętność
Lecz dziś nie jestem czytelnikiem
I kuję tekst membraną wspomnień
O autorskich



Szepty i szmery. Kto by pomyślał, że tak niewiele wystarczy, by odbierać nadzieję. Dziesięć decybeli – szelest liści wywołany ledwo wyczuwalną różnicą ciśnienia, dwadzieścia decybeli – szept. Ale szept szeptowi nierówny. Jednym mówi się o miłości, nieco innym nuci się najpiękniejsze kołysanki, a zupełnie odmiennym wyjawia mniej lub bardziej błahe sekrety. I jest taki szept, który przeraża.

Dzieci miewając koszmary, często zarzekają się, że dane im widzieć najdziwniejsze zjawy i doświadczać najróżniejszych „słyszadeł”: „Mamo, mamo, ale on mi powiedział, on mówił, dziś w nocy, mówił mi tak ckliwie, tak pięknie, że mam nigdy nie zamykać oczu. On mówi tak, że mu się wierzy. Matko – powiedział, że ty zamknęłaś wczoraj oczy... I to chyba dobrze nam nie wróży”.

Dalszej części się nie słyszy, bo nie słucha – przecież dziecko niczego nie widziało, niczego nie słyszało. Świat dorosłych tak nieziemsko przyziemny, że choćby głową o beton, to nie wysłuchają do końca. A cały świat oparł się i stoi właśnie gdzieś na końcu – na krawędzi wzroku, na progu słyszalności. Tylko że to boli: wykrzywiać w tak nienaturalny sposób oczy albo nadśluchiwać obsesyjnie każdego szmeru; w pewnym momencie zaczyna się – w orężu frustracji lub ze zmęczenia – powoływać dźwięki do życia (a niestety, te mogą stać się nieuleczalnie chore). Nawet dzieci przestają wreszcie się interesować, przestają zauważać. Ludzie od dawien dawna byli odwróceny, a najśmieszniejsi pozostają niezmiennie ci, którzy wymachują drewnianymi krucyfiksami na widok odwróconej gwiazdy pitagorejskiej, cudownie nieświadomi, że stoją zarówno w samym jej środku, jak i na każdym z pięciu ostrych wierzchołków. Nie potrafią dostrzec, że rozciągają posłusznie ramiona wzdłuż krawędzi.



SUMMA

- Smutny ten twój świat – rzekła Ona.
- Zwyczajny, w zamierzeniu ludzki. Chyba – odpowiedział Jej. Gdy mówił, echo odbijało puste dźwięki. Wokół unosił się dym.

Oboje czuli odrażający zapach różnych człowieczych ciał niebieskich. Zalewanych od zarania dziejów niestygnącą lawą czerwoności. Strach. Tak gorący, w pośpiechu drążący krwi napęd atomowy.

A oni wśród tej czerwieni tacy papierowi, niepełnowymiarowi: bez osobowości, dramaturgii oraz puenty.

Wciąż w poszukiwaniu wytchnienia, oddechu... Inspiracji – etymologicznie to przecież znaczy to samo.



A. N.

Czasy zapomniane

Jestem ostatnim noszącym wspomnienia przeszłości
Które kiedyś razem dzieliliśmy
Jestem ostatnim, który świadomie wybrał ścieżkę
Podążam drogą zapomnianych

Zawsze piątka na samotność, nigdy piątka na szczęście
Kwiat dzikiej róży podarowany w niemym geście
Zawsze piątka na samotność, nigdy piątka na szczęście
Martwe płatki w dłoniach skazały nas na klęskę

Wciąż trwam pośród słów, których nie wymawiam
Dryfuję po bezkresie snu
I wciąż trwam, pusta dusza, każdego dnia
Krocząca pośród nocnych cieni

Zawsze piątka na samotność, nigdy piątka na szczęście
Kwiat dzikiej róży podarowany w niemym geście
Zawsze piątka na samotność, nigdy piątka na szczęście
Martwe płatki w dłoniach skazały nas na klęskę

Wyrwij jeden, by dać nadzieję



Wybierz dwa, by zadać ból
Wyrwij trzy, by sprawić cud
Wybierz cztery, by przerwać sen
Wszystko piękne i cudowne
Straciło dawny sens

Zawsze piątka na samotność, nigdy piątka na szczęście
Kwiat dzikiej róży podarowany w niemym geście
Zawsze piątka na samotność, nigdy piątka na szczęście
Martwe płatki w dłoniach skazały nas na klęskę



A.N.

Codzienność

Gdy byłem młody, tak powiedziałem,
"Świat opatulił mnie puchowym szalem"
Szal ten był miękki, trochę drażniący
Dziwnym trafem, pętlę przypominający

Pewnego dnia, gdy spacerowałem ulicą
Spostrzegłem karocę z młodym woźnicą,
Na krótką chwilę zwolniłem i podziwiałem
Konie, objuczone rzemieniowym szalem

Woźnica młody, promieniował światłością,
Jednak w jego spojrzeniu kryła się zdrada,
Gdy czarnym batem wywijał z wściekłością
Śpieszył się tak, jakby nadciągała zagłada

Widząc to, podszedłem w stronę śmietnika
Wyrzuciłem swój szal, dar od przeciwnika

WYŚNIONY

Ideałów nie ma, więc co mam zrobić, skoro ja już sobie Ciebie dokładnie zaplanowałam?

Jesteś wyższy ode mnie na tyle, bym całując Cię, musiała zadrzeć głowę do góry lub stanąć na palcach, bo przecież to co najlepsze wcale nie przychodzi nam tak łatwo...

Masz ładne, pogodne oczy. Gdy się śmiejesz, twój uśmiech dociera nawet tam. Wokół oczu, w których igrają wesołe iskierki, robią Ci się wtedy takie urocze zmarszczki.

Gdy się gniewasz lub złościś (jak każdy, bo przecież nie chcę Cię zawsze opanowanego i sztucznie spokojnego; chcę, żebyś się wściekał, krzyczał i rozwał ściany pięściami, jeśli czujesz, że akurat teraz tego potrzebujesz; chcę, żebyś trząskał drzwiami i wychodził, gdy poniosą Cię nerwy... A nade wszystko, chcę byś, gdy zrobię coś źle, powiedział mi o tym, a nie tłumił gdzieś głęboko w sobie), wtedy twoje oczy niebezpiecznie się zwężają i mrożą spojrzeniem tak, że nawet mnie przechodzi dziwny dreszcz.

... Jakże odmienny od tego przyjemnego mrowienia, które czuję, gdy patrzysz na mnie pociemniałymi od pożądania oczami; spojrzeniem, które zapiera mi dech w piersi i sprawia, że czuję się tylko Twoja i wyjątkowa.

Oczy okalają ciemne rzęsy, które w słoneczny dzień rzucają cień na twoje policzki, co nadaje Ci tylko uroku i aury tajemniczości, mimo że jesteś tego nieświadomy. Gęste brwi zabawnie się schodzą, gdy intensywnie się nad czymś zastanawiasz...

... Wiesz co jeszcze wtedy robisz machinalnie? Przygryzasz wargę. A wtedy jak bumerang wracają do mnie wszystkie wspomnienia, gdy w podobny sposób przygryzałeś tak moją wargę. Chwile, gdy twoje miękkie usta wodziły po moim ciele, a ciepły oddech sprawiał, że cała drżałam, w duchu modląc się jednocześnie o to, byś wreszcie zrobił krok dalej, i o to, by ta słodka tortura trwała wiecznie... A przecież to te same usta, które pod wpływem gniewu zwężają się w cienką linię i te same, które w chwilach twojej radości układają się w szczery uśmiech...

... Te same, które szepcząc mi do ucha, zapewniają, jak wiele dla Ciebie znacę, gdy tulisz mnie do siebie w swoich bezpiecznych ramionach podczas letnich, spokojnych zachodów słońca... I te same, które syczą mi w zagłębienie między obojczykami tak niestosowne rzeczy podczas naszych wspólnych uniesień w chłodne, zimowe wieczory, gdy kochając się na podłodze w stłumionym świetle świec, dającym kojące ciepło, nic innego nie liczy się prócz naszej dwójki i naszych spragnionych siebie dłoni

i ust...

Twoje dłonie... Uwielbiam twoje dłonie – duże i trochę szorstkie, dzięki czemu nie sposób ich pomylić z kobiecymi. Uwielbiam, gdy zakładasz mi niesforne pasemko włosów za ucho; uwielbiam, gdy przyciągasz mnie nimi w nocy do siebie, by ogrzać ciepłem bijącym od Ciebie; uwielbiam, gdy mnie nimi pieścisz; uwielbiam, gdy zakrywasz mi nimi oczy, zachodząc mnie od tyłu i robiąc niespodziankę; uwielbiam, gdy tak chętnie masujesz mi nimi stopy po ciężkim dniu; uwielbiam, gdy chwytasz nimi moją twarz, przyciągając do swojej i składasz mi na ustach słodki pocałunek; uwielbiam, gdy stanowczo chwytasz mnie za nadgarstki, przygwożdżając brutalnie do ściany... Lecz najbardziej uwielbiam świadomość tego, że te same dłonie są gotowe bronić mnie przed całym złem tego świata. Zawsze i za wszelką cenę.

Jest tak wiele rzeczy, które sobie w Tobie zaplanowałam... Twój głos, śmiech, zapach... Tylko boję się, że tak naprawdę to Ty nie istniejesz, a ja głupia, czekając na Ciebie, tracę tak cenny w życiu czas...

„Jesteś bardziej wymysłem mojej wyobraźni niż realną osobą.”



Dla jednych miasto pogrążone we śnie wydaje się być oazą spokoju i harmonii, dla innych jest widokiem tak przerażającym oraz złowrogim jak obraz spowitego mrokiem opuszczonego cmentarzyska.

Jest niewiele po piątej nad ranem, więc czas pierwszych pobudek miał dopiero nastąpić. Pomimo tego, że większość ludzi zapewne smacznie teraz spała pod ciepłą pierzynką w swoich przytulnych domkach, ja nie spałam. Nie odczuwałam też tego wewnętrznego spokoju, który ukoiłby moją jakże bardzo w tej chwili udręczoną duszę. Chłód wrześnieowego poranka, który powodował na mojej skórze gęsią skórkę był niczym w porównaniu z przejmującym chłodem wewnątrz mnie. Przyśpieszyłam kroku, przechodząc nieopodal antykwariatu. W sklepowej witrynie ujrzałam swoje odbicie. Okrutny widok. Błada, wymęczona cera, zapadnięte policzki uwydatniające zbyt mocno zarysowane kości policzkowe, ładne, pełne usta, które są jednak niemiłosiernie popękane, niezdrowo wychudzona sylwetka odziana w krótką, czarną sukienkę i długie, złociste lecz przesuszone włosy, całości dopełniały wielkie, niebieskie i ogromnie smutne oczy, które z dnia na dzień okalały coraz ciemniejsze sińce. Jednak najgorsze było spojrzenie bijące z tych oczu –przepętnione pustką i bólem, zupełnie jak moja dusza.

Wiedziałam, że potrzebuję naprawdę niewiele, by móc znów odzyskać dawny blask bijący ode mnie. Ten czar, który sprawia, że żaden – czy to chłopiec, czy dorosły mężczyzna – nie był w stanie oderwać ode mnie wzroku i był na każde skinienie mojego smukłego palca. Nie potrafię wytłumaczyć, skąd brało się moje przekonanie, że odzyskanie witalnych sił jest na wyciągnięcie ręki, ale byłam tego niemal równie mocno pewna, jak tego, że niezabranie ze sobą wczorajszego wieczora nawet cienkiej kurtki zostanie przeze mnie odpokutowane kilkoma dniami spędzonymi w otoczeniu lekarstw i odstręczających ode mnie chusteczek higienicznych. Gdy tylko dojdę do domu, co nie jest wcale takie proste w niebotycznie wysokich szpilkach, po których zostaną mi odciski, muszę koniecznie wziąć długą i gorącą kąpiel, żeby zmyć z siebie wspomnienia ciężkiej nocy i rozgrzać zziębnięte i wymęczone ciało.

